

Dzisiejszy świat zewnętrznie jest bardzo atrakcyjny, tyle, że jego istota wydaje mi się mało pociągająca. Nie ma w nim wielkiej Tajemnicy, drugiego dna. Nie ma Boga ani żadnych świętości. Została zachwiana hierarchia wartości. Wszystko jest sponiewierane, utyltane. Pod atrakcyjnym opakowaniem kryje się pustka. Ale przecież to nie może być prawda o świecie.

CYWILIZACJA ZABIJA W LUDZIACH DUSZĘ

W: Aktorstwo jest dziś postaniactwem?
Dla mnie zawsze było.

A jak jest teraz?

O statnio rzadko bywam w teatrze. Nie pasjonują mnie eksperymenty młodych reżyserów, którzy z niewyobrażalną lubością pastwią się nad literaturą, a dla mnie i mojego pokolenia literatura zawsze była w teatrze najważniejsza. Była fundamentem, na którym wspiera się istota spektaklu. Trudno mi się też pogodzić z faktem, że zbyt często powstają przedstawienia efekciarskie, znacznie spływające temat, którym się zajmują. Czy aktorstwo było misją? Tak, bo odkąd sięgam pamięcią, bardzo poważnie traktowałam swój zawód. Uważam, że sztuka ma ogromny wpływ na osobowość odbiorcy. Kształtuje jego wrażliwość. Pomaga w dostrzeganiu prawdy i fałszu, rozróżnianiu dobra od zła. Jej powinność pięknie ujmuje argentyński poeta Jorge Luis Borges: „czasem z jakiegoś zmięzchu wynurza się twarz, patrząca z głębi jakiegoś zwierciadła. Sztuka winna być głębią owego zwierciadła, które objawi tobie twoją własną twarz”.

A może dzisiaj twórcy chcą się po prostu dostosować do poziomu widzów...

I dzisiejszego świata? Z pewnością tak. Taki świat zewnętrznie jest bardzo atrakcyjny, tyle że jego istota wydaje mi się mało pociągająca. Nie ma w nim wielkiej Tajemnicy, drugiego dna. Nie ma Boga ani żadnych świętości. Została absolutnie zachwiana hierarchia wartości. Wszystko jest jakieś sponiewierane, utyltane. Pod atrakcyjnym opakowaniem kryje się pustka. A przecież nie może to być prawda o świecie. Istnieje w nim i dobro, i uczciwość, i szlachetność. Tylko głęboko ukryte, tak jakby dla współczesnego człowieka okazywanie szlachetnych uczuć było przejawem słabości. A mnie przeraża takie powierzchowne traktowanie życia, które dla mnie jest dramatem, a nie tylko przygodą.

Dramatem?

No tak. Istnienie na tym świecie jest pełne cierpienia, trudu, lęku, rozczarowań, niespełnionych nadziei. I odpowiedzialności za swoje czyny i słowa. Za życie i byt bliższych ludzi. Na szczęście są również w tym życiu chwile piękne i zachwycające, dla których warto istnieć.

Na przykład momenty poczucia satysfakcji i spełnienia, kiedy osiąga się sukces albo przeżywa wielką miłość, albo obserwuje narodziny nowego życia, dziecka, które potem rośnie, dojrzewa. Dlatego użyłam słowa „dramat”, bo w nim, jak wiadomo, mieści się i komedia, i tragedia.

W przesłaniu na tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru Krzysztof Warlikowski zwrócił uwagę, że mistrzów dla teatru warto szukać z dala od niego, i podał przykłady Kafki, Manna czy Prousta, a także Coetzego. Wszyscy oni umieli trafnie postawić diagnozę zagrożeń współczesnego świata...

To ciekawe przesłanie. Myślę jednak, że niepokoje wypowiedziane w literaturze przez wspomnianych twórców zabrzmiły także w teatrze, choćby u Brechta. Ale spójrzmy na historię naszego powojennego teatru. W okresie komunizmu, czy szalejącej cenzury ważne przesłania można było znaleźć w spektaklach Jerzego Grotowskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy czy, oczywiście, Konrada Swinarskiego. Jeżeli Krzysztof Warlikowski sugeruje, że dzisiejsze czasy nie wydały dramaturga, który potrafiłby im sprostać, pewnie ma rację. Być może we współczesnej literaturze nie ma sztuk, które z całą głębią i mądrością oddawałyby złożoność naszej cywilizacji. Cywilizacji, która przez pędzący postęp techniczny zabija w ludziach duszę. Z doświadczenia jednak wiem, że mistrzowska interpretacja klasyki, niewykrzywająca wielkich dzieł literatury dramatycznej i nieprofanująca ich, może dać widzowi więcej do myślenia niż niektóre współczesne sztuki i niektóre dzisiejsze przedstawienia. Oczywiście teatr musi podążać za zmieniającą się nieustannie rzeczywistością. Poszukiwanie przez artystów nowych form jest normalne i konieczne. Ale na awangardzie nie można opierać całej sztuki teatru, która powinna przecież powstawać nie tylko dla krytyków, nie tylko dla naszego środowiska oraz tych, którzy marzą o stwarzaniu nowych, odmiennych stylów. Teatr ma służyć także widzowi pragnącemu w nim znaleźć bardziej tradycyjne środki wyrazu. I dlatego zwracam się z apelem do artystów, żeby pamiętali nie tylko o widzu dwudziestoletnim, ale też o tym średniego i starszego pokolenia, który chce przychodzić do teatru.

Przeżywać razem z bohaterami ich los, wrzucać się z nimi, płakać i śmiać. A potem zastanawiać, czy ich postępowanie było słuszne. Czy potępiać ich, czy afirmować.

Mówi pani o awangardzie i rewolucji, która dokonuje się w teatrze, ale przecież jako młoda aktorka sama pani wpisała się w rewolucję, jaką była działalność Konrada Swinarskiego.

Wprzeciwieństwie do tego, co robią dzisiejsi „młodzieńcy”, zarówno Konrad Swinarski, jak i Jerzy Grzegorzewski, którego teatr był oparty na wizji plastycznej, przejawiali wielki szacunek dla autora. Oni nigdy nie zmieniali wymowy utworu, jego przesłania. Pamiętam doskonale analizy tekstu, które robiliśmy podczas prób z Konradem Swinarskim.

Dla dziennikarki zajmującej się kulturą w pewnej stacji komercyjnej, która o Grotowskim dowiedziała się od amerykańskiej aktorki, małe wyjaśnienie: Konrad Swinarski był także jednym z najważniejszych twórców powojennego teatru, a pani jego żoną, która odegrała ogromną rolę w najważniejszych jego spektaklach. Wasza współpracująca wydawała się tak harmonijna, że chciałbym wręcz zapytać: czy zdarzało się pani sprzeciwiać Swinarskiemu?

Co najmniej kilka razy. Sprzeciwiłam się, kiedy realizował „Nie-Boską komedię” i powierzył mi rolę Orcia. Miałam zupełnie inną koncepcję tej postaci. Ostro broniłam swoich argumentów i Konrad z niektórymi się zgodził.

© „Nie-Boską komedię” Swinarskiego po latach wybuchł konflikt między panią a nową dyrekcją Starego Teatru, w którym o niepamiętnych czasach była pani gwiazdą.

Nie miałam nic przeciwko temu, by po latach wracać do dawnych dramatów, które tworzyły historię Starego Teatru. A wśród nich była też „Nie-Boska komedia”. Wiadomo, że obecnie realizacje byłyby robione zgodnie z dzisiejszą wizją świata. Oburzyłam się tylko, gdy Oliver Frijić, pochodzący z Bośni reżyser, niemający pojęcia o twórczości Swinarskiego, chciał zrobić parodię jego „Nie-Boskiej komedii”. Wymyślił, że na scenie pojawi się grupa starych aktorów, którzy jakoby grali w tamtym spektaklu, oraz grupa młodych, którzy będą oskarżać tych pierwszych, że grali w przedstawieniu zlejącym antysemityzmem.

„Nie-Boska komedia” postrzegana bywa jako urwór antysemicki.

Nawet jeśli tak, to wizja Konrada Swinarskiego z pewnością nie szła w tym kierunku. Chcąc wzmocnić postać Szatana, który pokazuje Hrabieciu rewolucję, dodał mu teksty Przechrztów, ale nie miało to nic wspólnego z antysemityzmem. W „Nie-Boskiej” chodziło mu o ukazanie wiecznej walki Dobra ze Złem. To zresztą stało się wręcz obsesją Konrada w teatrze, co jeszcze wyraźniej ukazał w „Dziadach”. Ten atak na Swinarskiego zabolął mnie tym bardziej, że jak powszechnie wiadomo, był on człowiekiem otwartym, miał wielu przyjaciół także wśród Żydów. Jeździł do Izraela i w Tel Awiwie wystąpił z wielkim powodzeniem „Hamleta”. Tak modne dziś wpisywanie go w antysemicką fobię byłoby czymś wręcz niegodziwym. Ja i grupa aktorów Starego Teatru zaprotestowaliśmy przeciwko pomiataniu pamięcią człowieka, który był jednym z największych twórców powojennego teatru i

otworzył drzwi pewnej prowokacji intelektualnej i obyczajowej.

I dlatego postanowiła pani odejść ze Starego Teatru...

Nie odeszłam, bo od kilku lat byłam już na emeryturze, tylko podobnie jak Jerzy Trela zerwałam współpracę. Miałam podpisane ze Starym dwie umowy na dwa spektakle: „Król umiera, czyli ceremonie” oraz „Chłopców”, które zresztą za obecnej dyrekcji grane były dość rzadko.

Jako pedagog krakowskiej PWST wychowała pani mnóstwo wspaniałych aktorów. Magdalena Cielecka, Beata Rybotycka, Sonia Bohosiewicz, Katarzyna Gniewkowska, Jan Frycz, Krzysztof Globisz, Jakub Przebindowski czy Piotr Grabowski to tylko niektóre nazwiska aktorów dorastających pod pani skrzydłami.

Cała lista jest rzeczywiście imponująca i to daje mi ogromną satysfakcję. Nie miałam własnych dzieci, więc oni są mi bardzo bliscy, przyglądałam im się z uwagą, tak jak członkom swojej rodziny.

Pani uczniowie dość zgodnie wspominają, że uwielbiali zajęcia z panią, ale często się pani bał.

To kwestia temperamentu. Nie ukrywam, że jestem osobą niecierpliwą.

Do dziś wspomina się, jak jeden ze studentów na egzaminie tak przeciągał scenę śmierci swego bohatera, że po kilku minutach usłyszał od pani głośną uwagę: „No, umrzyj wreszcie!”.

Pewnie źle grał i tym swoim umiarem tak się przejął i tak nasycił, że to trwało i trwało, aż stało się nie do zniesienia. A co do moich reakcji, to muszę wyznać, że jestem osobą emocjonalną. Bywały sytuacje, kiedy ćwiczenia czy próby szły w złą stronę. Wtedy wściekałam się i kłęłam, czasem nawet obrażałam i wychodziłam. Ta złość zresztą szybko mi przechodziła. Ale jak robili coś, co mnie poruszało, chwyciło za serce, a nawet rozśmieszało, potrafiłam chwalić ich jak aniołów.

Temperament odziedziczyła pani po ojcu, który był z pochodzenia Węgrem?

No, dziadek był Węgrem, a mój ojciec zmarł wprawdzie przed moim urodzeniem, ale z opowieści rodzinnych wynika, że był gwałtownikiem i miał fantazję nie z tej ziemi.

Grając przed laty Anielę Dułską w serialu „Z biegiem lat, z biegiem dni...”, bardzo odległa pani od stereotypu tej postaci. W pani wykonaniu Anieli nie była zakłamaną mieszczką, lecz kobietą głodną miłości, śmiertelnie znudzoną pospolitością. Myślę, że trudno byłoby pani żyć z kimś tak poczytnym jak Dułski.

Z pewnością bym się buntowała.

Może dlatego w pani artystyczny i osobisty życiorys wpisane były tak silne osobowości jak Marek Walczewski i Konrad Swinarski.

Moja młodość upłynęła pod wpływem tych dwóch indywidualności. Oczywiście silniejszą był Konrad Swinarski. Wiem, że bywam apodyktyczna i lubię stawiać na swoim; z tego powodu zdarzały się nieporozumienia między mną a Markiem Walczewskim, który kilkanaście lat był moim mężem, zanim stał się mężem innej pani. To było takie wieczne przeciąganie liny. Ja, ceniąc go jako artystę, nie akceptowałam jego stylu życia, bo choć jestem osobą zbuntowaną, jednak mam duszę mieszczką. Dom jest dla mnie azylem, lubię w nim spokój, tradycję, a o swoich mężczyznach jestem zazdrosna.

Dlatego dobrze czuje się pani w Krakowie?
Z wiekiem coraz bardziej jestem przekonana, że nie mogłabym mieszkać gdzie indziej.

A podobno rozważała pani możliwość przenosin do Warszawy? Były ponoć nawet konkretne rozmowy z Erwinem Axerem i Jerzym Kreczmarem?

To był raczej rodzaj prowokacji pod adresem Zygmunta Hübnera. Ponieważ w Starym Teatrze nie chciał mi dać roli, o której marzyłam, postanowiłam mu udowodnić, że nie jestem na niego skazana i mogłabym się przenieść do Warszawy. Wystosowałam ofertę do trzech reżyserów, z których dwóch: Axer i Kreczmar, zaprosiło mnie na rozmowę. To oczywiście poprawiło mi samopoczucie, ale jednak miałam podpisaną umowę w Starym i nie chciałam jej zrywać. Zwiastuje że Konrad Swinarski uzależniał wystawienie „Pokojówek” Geneta od mojej zgody na zagranie roli Claire. A potem pojawiły się takie role, o których każda aktorka mogłaby sobie pomarzyć. Więc o zmianie teatru ani miasto nie było mowy.

Wspomniała pani nazwisko Zygmunta Hübnera. Czy on rzeczywiście robił „teatr, który się wtrąca”?

A skąd takie przekonanie?

Takie motto podaje nowa dyrekcja warszawskiego Teatru Powszechnego, którego Hübner jest patronem...

To jakieś mało zgrabne określenie. Pamiętam pierwsze z nim zebranie zespołu po moim przyjeździe do Starego. Zygmunt Hübner powiedział: „W dalszym ciągu zadaniem naszego teatru będzie dyskusja z rzeczywistością, ironiczny stosunek do niej”. Bardzo się nam to spodobało.

Wtedy chodziło o ironiczny stosunek do tamtej, peerelowskiej, rzeczywistości. A dziś?

Założenie pozostaje aktualne i powinno towarzyszyć artystom i dziś. We współczesnym teatrze nie widzę jednak ironii, tylko deformację. A w ogóle najbardziej brakuje mi w nim poezji, poetyckiej metafory.

W teatrze zagrała pani dziesiątki znakomych ról u znaczących reżyserów. Mniejsze zainteresowanie wykazywali reżyserzy filmowi. Na szczęście były wyjątki, choćby obsypani nagrodami „Rewers” borysa Lankosza. O tym, że bliskie jest pani kino psychologiczne, przekonała nas Marta Meszaros.

W swej trylogii Marta obsadziła mnie w dość mrocznej roli. Grałam komunistkę, do tego stopnia ślepo oddaną głoszonej idei, że nie dostrzegła w niej żadnych minusów. Twierdziła, że system jest dobry, ale źle działa, bo ludzie nie potrafią mu się podporządkować. A jednak musiałam odnaleźć w niej człowieka. Tym łatwiej było mi to zrozumieć, że w kręgu moich bliskich miałam taką postać. Szlachetną, uczciwą, lecz zupełnie nieprzemakalną na punkcie wiary w ideę komunizmu. Co dla mnie, należącej do „Solidarności”, było wprost nie do pojęcia.

Pamiętam też ciekawe zafiknięcie dwóch silnych osobowości. W telewizyjnej „Matce Courage” Lidia Zamkow grała postać tytułową, a pani jako jej córka wydawała się bardzo pokorna.

Przed wszystkim byłam młoda, nigdy nie spotkałyśmy się na scenie, bo pracowałyśmy w dwóch rywalizujących ze sobą teatrach. Ona w Słowackim, ja w Starym. W czasie nagrań „Matki Courage” byłam strasznie osłabiona, więc na

jakąkolwiek dyskusję z reżyserką nie miałam siły. Potem, kiedy wydobrzałam i zaproponowałam pewne rozwiązanie sceny, z którą miała problem, poczułam, jak posyła w moją stronę błyskawice. Takie bywają spotkania silnych osobowości. Z czasem jednak coraz bardziej nabierałam pewności siebie. Po śmierci Swinarskiego zdecydowałam się studiować reżyserię. Bałam się, że nikt nie będzie mnie obsadzał w tak ciekawych rolach jak dotychczas. Na szczęście nie było takiego zagrożenia. Ta reżyseria to zresztą był także rodzaj autoterapii. Zmusiła mnie do większej aktywności, dała możliwość spojrzenia na teatr z drugiej strony rampy.

Sama też nawiązała pani świetny kontakt z młodymi reżyserami. Wystarczy wymienić tak różnych artystów jak Grzegorz Jarzyna czy Agnieszka Duda-Grac.

Bo nie zamykam się przed młodymi artystami, ale wszystko, co proponują, musi mieć jakiś sens, jakąś wartość.

Gorszy panią nagość w teatrze?

To nawet nie jest sprawa zgorszenia. Epatowanie seksem w teatrze mnie drażni. I może w tym też jestem mieszczańską. Uważam, że seks jest ukoronowaniem miłości, chyba że mówimy o gwalcie albo prostytucji. Tymczasem w dzisiejszym teatrze jest seks dla seksu. A posługiwanie się nagością stało się środkiem wyrazu artystycznego. To ja już wolę tango. Ileż tam jest ludzkiego zmagania z partnerem, a jednocześnie bliskości i pożądania. To jest dopiero kawał teatru.

Mówiła pani, że wielu starszym ludziom trudno zaakceptować dzisiejszą rzeczywistość, ale myśli, że podobnie jest z niektórymi młodymi. Związka z tymi ze słuchawkami na uszach.

To rzeczywiście symptom naszych czasów. Myślę, że jest rodzajem ucieczki czy obrony przed światem, który każdego dnia atakuje nas różnymi bodźcami. Dźwiękami, obrazami. Słuchawki na uszach mają to zagłuszyć. Młody człowiek odgradza się muzyką, która daje mu ukojenie i pozwala nieco wyciszyć emocje, także dlatego, że świat bywa agresywny. Ale jest też coś, co podoba mi się najbardziej: młodzi ludzie czują potrzebę ciągłego podnoszenia swoich kwalifikacji. I często, nosząc słuchawki, uczą się na przykład języków obcych. Sama bym to robiła, gdybym była na ich miejscu.

Wśród znaczących postaci zagrała pani w Teatrze Telewizji wielką Josephine Baker. A tytuł spektaklu brzmiał: „Moje prawo do życia”. Tak też mógłby być tytuł tej naszej rozmowy.

Nie. To zbyt pompacyjne. Już lepiej – moje prawo do bycia...

Przed dwoma laty otrzymała pani Nagrodę Wielką Festiwalu Dwa Teatry za wybitne kreacje w Teatrze Telewizji. Za nagrodą nie poszła konkretna propozycja. A co by pani teraz najchętniej zagrała?

Himm... Ponieważ wystąpiłam już w roli panny bez posagu, teraz chętnie zagrałabym jakąś hrabinę w sam raz na 55-lecie pracy artystycznej. ©©

—rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski

Anne Pelemy jest jedną z najwybitniejszych polskich aktorek teatralnych, a także pedagogiem i reżyserem. Przez pół wieku związana ze Starym Teatrem w Krakowie. Grała w najwybitniejszych spektaklach Konrada Swinarskiego, Andrzeja Waljdy, Jerzego Jarockiego i Kazimierza Kutza. Stworzyła kreacje w „Wyzwoleniu”, „Sędziach” i „Kłótnie” Wyspiańskiego, „Dziadach” Mickiewicza. Była Dułską w serialu „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Jako pedagog krakowskiej PWST wychowała czołową polskich aktorów. Wybitne role filmowe zagrała w „Rewersie” Lankosza, a wcześniej w filmach Marty Meszaros. W tym roku obchodzi 55-lecie pracy artystycznej